

KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

lipiec 2007 r.

Nr 7 (52)



1. Z KART PRZESZŁOŚCI

– ciekawostki z dawnej prasy konińskiej

2. ZE WSPOMNIENI

– przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień

3. Z DZIEJÓW KONINA

– artykuły o treściach historycznych, archiwalia

4. TWORZYLI WIZERUNEK MIASTA

– sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta

5. NASZYM ZDANIEM

– wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta

6. INSPIRACJE KULTURALNE

– poezja, proza, rysunek konińskich twórców

7. Z ŻYCIA TPK

– zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań

8. BARWY CODZIENNOŚCI

– podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście

9. ODPOWIEDZI REDAKCJI



Droży i mili Czytelnicy!

Ani nadmiar słońca, ani nadmiar deszczu nie przeszkodziły Państwu w podtrzymaniu kontaktów z redakcją „Koninianów”. Z tego pisanego żniwa próbujemy wybrać najciekawsze, ale również i te najważniejsze materiały.

Jednym słowem, chcemy bawić i uczyć bez względu na pogodę. Postanowiliśmy trochę odrobić zaległości z dziedziny kultury, stąd aż dwie recenzje (pióra Janiny Wenedy oraz Stefana Rusina) – o twórczości rodzimych poetów. Lech Stefaniak renomę ma raczej ugruntowaną, ale proszę zwrócić uwagę na debiut Jadwigi Naskręckiej – o pogodnej poezji na nie tylko pogodne dni. Pokazujemy również nieco inne oblicze twórcze Danusi Olczak. Z niekłamną satysfakcją rekomenduję artykuł (jeszcze do niedawna mojego ucznia z I Liceum) świeżo upieczonego magistra Bartosza Kielbasy na temat klimatu miasta Konina i

okolic. Szczególnie praca zainteresuje „starokoninian” – trochę to dla nas smutne, ale niestety prawdziwe. Natabene praca jest do wglądu w Bibliotece przy ulicy Dworcowej. Zwracamy się z apelem do autorów różnych prac o naszym mieście o przekazywanie ich do biblioteki, gdzie Dyrektor zamierza stworzyć specjalny dział tych wydawnictw.

Piotr Rybczyński ponagłany przez Czytelników przedstawił dalsze losy i tajemnice miejskiego Ratusza, ponoć to jeszcze nie koniec.

Zaczynamy również nieco zmodyfikowany dział wspomnieniowy o ciekawszych obywatelach Konina – redagowany często przez ich najbliższych. Na dobry początek Boguś Mrygoń wspomina swego Ojca. W pewnym sensie koresponduje ze wspomnieniami Bogusia – artykuł Janusza Gulczyńskiego o wojnie roku 1920, na którą wymaszerował z Łodzi Jego młodzintki Rodzic. Zygmunt Kowalczykiewicz (starszy) przypomina nasze najbardziej beztrioskie lata, jaka szkoda Zyg, że to wszystko było w ubiegłym wieku (ale „jeszcze pływamy”)!
* * *

Niestety są również smutne wiadomości, pożegnaliśmy serdecznego Przyjaciela „Koninianów” Janusza Szymczaka (był również moim druhnowym) – żegna Go hm. Kazimierz Gościński. Będą jeszcze o Januszu artykuły, ale (z powodów technicznych) już w następnych numerach.

Z wakacyjnymi pozdrowieniami
Stanisław Sroczyński

PS Obiecujemy zdjęcie (poniżej) ociera się prawie o historię. Przedstawi kolejnych prezesów Towarzystwa (choć niestety nie wszystkich) oraz jednego w tym czasie in spe, pełniącego swoją funkcję aktualnie.

PS Przepraszamy, że artykuły dzielimy na części, ale chcemy jak najwięcej Państwu przekazać wiadomości i drukować nadsyłane materiały.

PS Dalszy ciąg sagi cukrowniczej w sierpniu.



Odgłosy wojny 1920 r. w Koninie (I)

Był rok 1920. Zaledwie dwa lata minęły od odzyskania niepodległości i znów Polska z niezagojonymi jeszcze ranami, po przeszło 120-letniej niewoli, znów stawała w obliczu państwowego i narodowego zagrożenia. Naddziagała od wschodu nawała bolszewicka. Wydawało się, że może ziścić się (niby czarny) sen, doktryna wojującego komunizmu. Zwycięstwo nad Polską wkalkulowane było w dalekosieżne plany Lenina – komunistycznego podboju Europy. Z Rzeczypospolitej chciano utworzyć Polską Republikę Rad, a następnie rozniecić rewolucję w Niemczech, Czechosłowacji, na Węgrzech itd. Do objęcia władzy przygotowany był już, zainstalowany w Białymstoku tzw. Tymczasowy Komitet Rewolucyjny, z Marchlewskim, Dzierżyńskim, Unslichem i Konem na czele. W połowie sierpnia wojska bolszewickie były już pod Radzyminem, niemalże na przedpolach Warszawy. Niepodległość państwa zawisła na włosku, ale katastrofę zdołały zażegnać wyteżone siły całego społeczeństwa polskiego, ofiarność i waleczność polskiego żołnierza, wreszcie genialność planów strategiczno-taktycznych Naczelnika

Państwa, Józefa Piłsudskiego.

Po 15 sierpnia, owym – jak go później nazwała historia – „Cudzie nad Wisłą”, wojska polskie przeszły do kontrofensywy. Rozbito armię Tuchaczewskiego i stacjonującą na południu wojska Budionnego. Zwycięstwo było całkowite i niezaprzeczalne. Niepodległość uratowana.
* * *

Odgłosy wojny bolszewickiej w Koninie zawarte są nielicznych źródłach. Z kilku z nich warto podać najistotniejsze informacje, niektóre zacytować.

Na przykład: w jednodniówce konińskiego Gimnazjum Humanistycznego z 1922 r. znalazły się wspomnienia ucznia szkoły, byłego żołnierza Armii Ochotniczej z 1920 r., Włodzimierza Wiszniewskiego. Materiał został zatytułowany „Mój udział w walce o wolność narodu podczas wakacji 1920 roku”. Autor tak wspomina wstąpienie do wojska: „[...] Nie pozostała głucha na głos Ojczyzny i młodzież szkolna, wszyscyśmy tłumnie pospieszyli, aby się zaciągnąć w szeregi armii ochotniczej. Od chwili zaciągu byłem już żołnierzem, a myśl, że będę bronił całości naszych granic napelniała mnie dumą niezwykłą. Przysiękłem też sobie, że raczej polegnę, a Ojczyzna wolna być musi [...]”.

Ochotników spośród nauczycieli i młodzieży szkolnej było niemało. Oto, co pisał w innej jednodniówce szkolnej (wydawnictwie z 1938 roku) kierownik szkoły w 1920 roku, ks. Stanisław Szabelski. Według jego słów, barwnie wyglądał wymarsz konińskich ochotników na wojnę. Na

rynku zebrały się tłumy koninian, żegnające żołnierzy: „[...] Młodzież uzbrojona, choć mało wyćwiczona, lecz pełna zapału, dumnie podnosiła czapkę żołnierską ze znakiem ochotników, kółkiem zszytym z wstążeczek biało-amarantowych [...]”.

dokończenie na str. 3

Pożegnanie Harcmistrza Janusza Szymczaka

30 maja br. w czasie przechodzenia przez pasy przy ul. Paderewskiego, zginął tragicznie Instruktor i pasjonat harcerstwa Hm. Janusz Szymczak. Podzielił On los swego syna Andrzeja, który w podobnych okolicznościach, będąc studentem, zginął w 1975 r. w Poznaniu.

Zmarły dh Janusz urodził się w Koninie w rodzinie rzemieślniczej. Już w 1938 roku został Zuchem, Harcerzem zaś w roku 1945. Przysiężenie złożył na ręce ówczesnego Komendanta, legendarnego phm. Antoniego Studzińskiego. Odtąd prawo i przyrzeczenie harcerskie stały się drogowskazem Jego codziennego postępowania, a krzyż i mundur najważniejszymi atrybutami.

Po polskim Październiku i reaktywowaniu Związku Harcerstwa Polskiego zostaje organizatorem nowych struktur drużyn i szczepli – od 1963 r. jest Komendantem Ośrodka ZHP w nowym Koninie. Organizuje zloty i zjazdy, narady i biwaki szkoleniowe w Mikorzynie i nie tylko. Dostarcza młodzieży w szarych i zielonych mundurkach niezapomnianych przygód i przeżyć harcerskich. Następnie zostaje przewodniczącym komisji instruktorskiej. W roku 1989 powołuje Chorągwią Komisję Historyczną, tworzy również liczny i prężny Krąg Seniorów im. Antoniego Studzińskiego... działał w nim do końca.

Cześć Jego pamięci, pozostanie w naszych sercach.

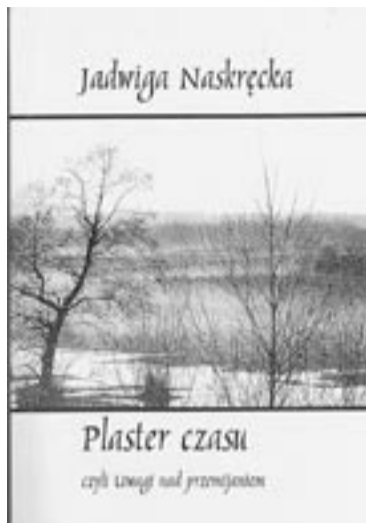
hm. Kazimierz Gościński



„Plaster czasu, czyli uwagi o przemijaniu”

J a d w i g ę N a s k r ę c k ą znam od wielu lat, można rzec „od zawsze”, ale nie potrafię podać daty, kiedy się poznałyśmy lub kiedy przeszłyśmy na „ty”. Mieszkamy w Koninie, a to miasto posiada zdolność przyciągania do siebie ludzi mających podobne zamiłowania. Nazywam ją Jagoda (Jadwiga wydaje mi się zbyt oficjalnie), co świadczy o głębokiej i serdecznej przyjaźni. Najczęściej spotykałyśmy się na różnych imprezach kulturalnych, jak wystawy malarstwa i fotografii, spotkania autorskie, sesje naukowe, promocje książek i inne. Zauważyłam, że Jagoda z wielkim przejęciem wchłania wszystko, co niesła wieść literacka i artystyczna, ale do głowy mi nie przyszło, że ona sama tworzy poezję. Nigdy nie ujawniła swojej cichej pracy nad wierszami. Toteż jakieś było moje zdziwienie, gdy otrzymałam tomik jej poezji „Plaster czasu, czyli uwagi nad przemijaniem”, tomik wierszy dojrzałych, ciekawych i wzruszających. Zastanowił mnie tytuł, gdyż „plaster

czasu” kojarzy się z miodem, słodczynie słodkim, świetliście łagodnym, ale zwrot „uwagi nad przemijaniem” zapowiada raczej gorycz nieuniknioną, zanikanie w ciemności, przed którą nie można uciec. Dopiero po przeczytaniu wierszy, zawartych w zbiorze, zrozumiałam, że poetka zdaje sobie sprawę z konieczności przemijania, co napędza ją bezbrzeżnym smutkiem, ale jednocześnie próbuje pogodzić się z nieodwołalnym, a nawet uczynić rzecz znośną, naturalną i dobrą. Najważniejsze to nie zgubić czasu, tego ważnego, utkanego z jasnych wspomnień. W słowie „Od autorki” pisze: „Te zatrzymane ułamki czasu są dla mnie jak kamienie z zespołu megalitów na bretońskim Carnae. Wydaje się – nikomu dziś nie potrzebne. Nie wiadomo skąd, jakim sposobem i po co się tam znalazły. Tyle niewiadomych, tyle pytań, a jednak tam są, podobnie jak moje refleksje tutaj...”. Z rozważań poetki wynika, że trudne sprawy przemijania nie powinny napędzać smutkiem i beznadzieją. W wierszu „Nowy dzień” czytamy: „jaka radość /kolejny raz/ móc przefiltrować przez zmysły /szarość listopadowego poranka/ i co-



raz jaśniejszą aurę południa /jesienna niespieszna pogoda/ dobra jest na ukonjenie goryczy /i wybaczenie/. Gorycz przemijania może zatem ukoić przyroda i jej nieuchwytne piękno oraz wybaczenie. Przyroda odgrywa zasadniczą rolę w refleksjach poetki. Ma moc odnawiania się, przemija w powrotach do życia, budzi nadzieję, która: „...odpowiada /jutro na pewno/ pojawi się poranna zorza...”. Poranna zorza nie

tylko budzi nadzieję, ale zachwyca swym pięknem, odmiennością, zmianą barw. Poetka czerpie z niej radość i uspokojenie: „zorza – codziennie inna / nieraz zapierająca dech / jaskrawa lub pastelowa...”.

Ścisły, przyjazny związek z przyrodą poszerza poetka o istoty żywe, które też przemijają, ale „plaster czasu” zachował je w niezmiennym istocie, są więc zawsze żywe we wspomnieniu, osnutym łagodnym smutkiem. Mowa tu o wierszu „Do Przyjaciela P.” poświęconym dwunastoletniej przyjaźni autorki okazywanej ulubionemu psu, który odszedł, ale nie znikł i ciągle jest obecny w każdym kącie mieszkania, w promieniu słonecznym na podłodze, w wyjściach i powrotach. Strofy ciepłe i wzruszające, będące wyrazem czułego serca poetki i jej żalu, iż wszystko przemija. Takie uczucia poetka zamyka w bursztynowy „plaster czasu”, by pozostały na wieki.

Przyroda, słońce, zwierzęta i ptaki. Czy nie ma w „plastrze czasu” dla człowieka? Odnoszę wrażenie, że autorka odczuwa niejaki lęk przed ludźmi. Boi się zawiści, zemsty, kłamstw i pomówień. Na te szpetoty nie ma

miejsca w jej „plastrze czasu”. Ale szlachetność potrafi ocenić, o czym świadczy wiersz „Urodziny Krzysia”. „...okazjonalnie / domowe spotkanie / pozwoliło kolejny raz / mocniej związać / rodzinny węzeł / bliskości / zrozumienia / poznanie ...”

I jeszcze jeden piękny wiersz poświęcony lekarzowi „Mój doktor”, w którym poetka wyraża podziękowanie za troskliwą, wieloletnią opiekę medyczną.

Wiersze czyta się płynnie i dobrze. Zbyt szybko ostatnia kartka. Szkoda. Chętnie zajrzałabym w dalszy „plaster czasu” i zastanowiła się z Jagodą nad przemijaniem. Temat obszerny. Dobrze, że zapoczątkowany i podany czytelnikowi. Dobrze, że nie został ukryty w szufladzie. W słowie „Od autorki” poetka zaznacza: „Wszystko co pisałam – pidałam dla siebie. To, co mi serce dyktowało, aby utrwalić niektóre przeżycia, przemysłienia, wrażenia ...”

Dzięki Jej za to.

PS Tomik został ciekawie zilustrowany przez p. Tomasza Jankowskiego.

Janina Weneda

Szczyśliwe miasto, które ma poetów...

O poezji Lecha Stefaniaka nie pisałem do tej pory szerzej, pomimo że z moim rodzinnym miastem Koninem poeta związał się od wielu lat. Czekałem na właściwy moment.

Lech Stefaniak urodził się w 1951 roku w Drezdenu na Ziemi Lubuskiej. Po ukończeniu studiów na UAM w Poznaniu pracował do 13 grudnia 1981 roku jako dziennikarz. Działając w podziemnej „Solidarności” publikował swoje wiersze i artykuły publicystyczne w pismach drugiego obiegu. Od 1990 roku pracował w konińskiej administracji państwowej, obecnie kieruje Muzeum Okręgowym w Gosławicach. Wydał 5 tomików wierszy. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Znam jego twórczość będącą w społecznym obiegu. Pierwszy swój skromny tomik „Przedmurze” wydał techniką powielaczową w 1987 roku. Potrzeba napisania tych wierszy zrodziła się w poczucie niepewności w okresie stanu wojennego i nie śmiem wątpić, że również w latach poprzedzających wypadki sierpniowe. Był redaktorem tygodnika „Przegląd Koniński”, mógł więc zbierać materiały nie tylko do swoich reportaży. Głównym motywem tego tomiku jest rozrachunek z przeszłością. Bohater liryczny (alter ego poety) mówi o mechanizmach niszczenia społeczeństwa przez władzę totalitarną, o prawach człowieka do wolności, do życia w pokoju i na własny rachunek. Ironicznie polemizuje z Gintrowskim. *Bardowie i kapłani podbitego narodu / wyklinają nienawiść // nie przynoszą na groby zamęczonych / głów wrogów / nie leją ciepłej krwi // zakopują nienawiść głęboko... (Bardowie i kapłani...)*

Wiersz „Internacja” składa się z fragmentów listów osób internowanych, relacji świadka internowania oraz zapisków rozmowy z holenderskim pacyfistą. Bohater liryczny bun-

tuje się przeciwko złu panoszącemu się nie tylko w gabinetach, lecz i w biurach zwykłych urzędników. Przystaje go dziwić cokolwiek, gdy widzi jak wielu: *...przy lada okazji zaciąga się / w szeregi zwycięzców / choćby jako obozowe wilczury... (Jak łatwo wyjść ze zdumienia).*

W decydującej chwili może ocalić człowieka niemy krzyk albo zaciśnięte zęby. Niełatwo pozostać sobą w sytuacji niehumanitarnej. *...z klatki więzienia z przesłuchania / wyjść z własną twarzą / stało się miarą zwycięstwa... (Tu pod lawiną dni i lat)*

Te słowa mogą wypowiadać tylko ci, którzy to przeżyli.

Bohater liryczny ostrzega przed wcielaniem w życie znormalizowanych idei. O nich też pisał Czesław Miłosz w „Zniewolonym umyśle”. Kiedy te idee stają się niebezpieczne, nie mogą być obiektem żartów „ubogich wesolków” wiersz *Wrzesień*. Historia państw i narodów, historia władzy zawarta w książkach jest wiedzą nadaremna, skoro uczestniczy się w tych samych, tragediach skoro doświadcza się tego samego przekleśtego losu. Mechaników od kół historii mamy na kopy. Uruchamiają koła duże i małe. Do niedawna obracali je wstecz.

Bohater liryczny odbył podróż na wschód, by się przyjrzeć z bliska temu mechanizmowi. Biblijna „bestia” zaprowadziła go na moskiewski plac: *gdzie stały posągi ludzi szczęśliwych / w zapatrzeniu unoszących nad głowa-*

mi / narzędzia i owoce swej pracy... (Podróż na wschód)

Bestia miała go ślicznymi widokami, lecz odwrócił się od niej „...by spojrzeć w milion głodnych świata ust”. We Lwowie spotyka ciemnowłosą dziewczynkę mającą kłopoty w szkole z powodu wpisywania do kwestionariusza osobowego narodowości polskiej. Jako mieszkaniec greckiej prowincji Rzymu ironizuje na temat szczęścia bycia obywatelem imperium.

Swoją ojczyznę porównuje do skrawionego płatka śniegu, wzgórze zwane Kremlem przypomina mu „wiekowy pień katowski”, a siebie nazywa „ostatnim potomkiem kmieci i hetmanów, myślicieli i genialnych poetów”. Nawiązuje w swych wypowiedziach do postaw lub myśli znanych postaci, jak choćby Okrzei, Traugutta, Piłsudskiego. Ocenia sytuację w kraju i przedreaganowski świat: *...Z więzień wychodzą poeci i filozofowie / krąży też niewiarygodna pogłoska / że policja otrzyma palki / o 2 cm krótsze / (...)/ Znosi się na pełne rozbrojenie / naszych przeciwników / przyszłość jest doprawdy / oślepiająca. (Dobre lata)*

Jakże nie pochylić się czule nad śmiertelnie chorym krajem, jakże nie rozumieć tych, którzy są pełni nadziei. „...Staramy się żyć z rakiem, który toczy / to co miało być wieczne – ziemię / mowę i pieśni. Nie mówimy już: szczury / o tych którzy nocą wpływają na burzliwe / zachodnie morze by nie wrócić” (*Mój kraj*).

W czym przejawia się ludzka słabość? Ano w tym, że w czasach „przedmurza” wychodzi na wierzch

niewdzięczność, fałsz, że w domach przyjmuje się zdradców, zdradców i że tak łatwo rozgrzesza się zło.

...chyba tylko ci // którzy wyraźniej słyszą duchy tej ziemi / niż szept donosicieli / mogą powtarzać / że przedmurze trwa. (Przedmurze trwa)

Od napisania tego wyjątkowego tomiku wierszy upłynęło niezbyt dużo czasu, wiele się jednak zmieniło w naszej rzeczywistości. Upadają mury, bastiony, systemy. Czy poeta mógł to przewidzieć? W „Przedmurzu” pomieszczone zostały wiersze z lat 1982-1987. Niektóre z nich publikowała niezależna prasa krajowa i zagraniczna.

Lech Stefaniak po sześciu latach wydał drugi tomik wierszy „Pusta noc”. Są to wiersze napisane przed opublikowaniem „Przedmurza”. Musiały poczekać, bo w nich nie ma spraw z „frontu walki” o wolność. Powstały w latach 1979-1981 i zostały poświęcone *Pamięci brata*. Ich podmiot liryczny czuje w sobie i wokół siebie ulotność i nietrwałość – choć wszystko jest częścią „zielonej wieczności”. Mija chwila przeznaczona dla zająca, liścia, Jane Fondy, mostu, ścieżki... *śmierć miliardami // kładzie świeże kości*. Bohater liryczny wspominając swoich najbliższych zmarłych nie szuka ukonjenia.

...Więc teraz / gdy możesz się od nich tak łatwo uwolnić / zastanów się czy będzie to twoją siłą / czy kleską... (Gdy możesz się już uwolnić)

Spalenie zdjęć, widokówek z pozdrowieniami i listów nie przyniesie ulgi. Wszelkie próby zacierania śladów na nic się zdają. Podmiot liryczny nie udaje mędrca. Pokornie nadal pielęgnuje w sobie pamięć tych, którzy w jego życiu mieli jakiś ważny udział.

...będziemy cię wspominać przy

stole biesiadnym / i w kościołach mrocznych splecionymi dłońmi / dłońmi gdy okręt za horyzont kryjąc się jak słońce / ślad w powietrzu zostawi niczym świece gasnące. (Czuwanie)

Trzeci tom wierszy „Rzecz najjaśniejsza” (1999) Lech Stefaniak podzielił na sześć rozdziałów: w drugim pomieścił wybór z „Pustej nocy”, w trzecim – wiersze z tomiku

„Przedmurze”, i takie dał im tytuły. Pozostałe: „Umrzeć po raz pierwszy” (wiersze z lat 1973-1976), „Mity rodzinne”, „Zapach piołunu”, „Rzecz najjaśniejsza” zawierają nowe utwory.

Podmiot liryczny w „Umrzeć po raz pierwszy”, jako dwudziestokilkuletni mężczyzna, wyrażuje o witalności fizycznej, przyjaźni, miłości i psychicznym osamotnieniu. Personifikuje zalety i atrakcyjność sosny, płotu, drogi, butów, tudzież chwali uroki nocy i pożytki wynikające z posiadania amuletu.

...cień... / coraz wyżej się wspiął tak to wyglądało / jakby z wieży kościelnej powoli / ktoś złotą ponożochę odwijał / więc kościół szedł bosy w rozjarzone niebo... (Fragment)

W „Mitach rodzinnych” bohater liryczny układa ze wspomnień i starych fotografii ciepłą i nostalgiczną opowieść o dziadkach, rodzicach i swoich dziecięcych latach. Czare spełnionych pragnień wypełnia w „Zapachu piołunu” tatarakiem doliny Noteci, wysokimi trawami i ziołami wyrosłymi w wirydarzach wiosny. Swoje patriotyczne i religijne uczucia w „Rzeczy najjaśniejszej” spleta z niecodziennym oczarowaniem własną córką.

Jest ona obecna w kilku pięknych sonetach drezdeneckich: *...Gdy do cudu powtórzenie chwila już dorosła / Alina w zachwyceniu ze wszystkich twoich mostów / Wróżebne pątyki rzuca – byś jej niosła, niosła. (Noteć) (dokończenie w następnym numerze)*

Tytuł, zmiany i skróty pochodzą od Redakcji.

Stefan Rusin

Wspomnienie o ojcu

Ojciec mój, Józef Mrygoń, urodził się w 1902 roku w Łodzi. W lipcu 1920 roku wstąpił do ochotniczej armii organizowanej przeciw inwazji bolszewickiej. Parę dni później został ciężko ranny, a pamiątkę tego zdarzenia, odłamek granatu, nosił w kołczy miednicy do końca życia. Po powrocie z wojska zdał opóźnioną maturę w 1923 roku, po której pracował jako nauczyciel w Łodzi. W 1926 roku rozpoczął studia medycyny weterynaryjnej we Lwowie. Po ukończeniu studiów w 1931 roku przez 3 lata pracował w województwie łódzkim. W 1934 roku podpisał z władzami powiatowymi w Koninie umowę o pracę w Pyzdrach. W styczniu 1935 roku zawarł związek małżeński, jak łatwo się domyśleć z lwowianką. W listopadzie tego roku urodził się mój brat Adam. W 1938 roku rodzina przeniosła się Kleczewa, gdzie 4 miesiące przed wybuchem wojny urodziłem się ja. Napisany powyżej tekst nie jest wynikiem moich wspomnień, a stanowi jedynie lapidarny skrót życiorysu pierwszych 40 lat życia mego ojca. Najwcześniejsze wspomnienia o ojcu związane są z wydarzeniami w 1942 roku. Wtedy nasza rodzina przeniosła się do Słupcy. Ojciec podlegał administracji niemieckiej. Na początku 1943 roku został aresztowany za drobne wykroczenie administracyjne i osadzony na 3 miesiące w obozie karnym Fort VII w Poznaniu. W Słupcy nasza rodzina zawarła oczywiście nowe znajomości.

Między innymi przyjaznym gościem naszego domu był prof. Jezierski, internista z Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego, którego losy wojenne rzuciły do Słupcy. To prof. Jezierski ustalił dietę, która miała być aplikowana memu ojcu po jego powrocie z obozu karnego. Profesor zalecił dyskrekcję odnośnie składu tej diety. Jako 4-letni berbecz miałem naturę „kapusia”. Już w pierwszym dniu po powrocie ojca nie omieszkałem szepnąć mu na ucho: „Tatusiu, oni ci dają kozie mleko”. Pod koniec 1943 roku decyzją władz niemieckich nasza rodzina została przeniesiona do Kleczewa. 16 maja 1944 roku urodziła się moja siostra Sławomira. Od 1 września 1944 roku ojciec został zatrudniony jako rejonowy lekarz weterynarii w Kramsku, gdzie było również przygotowane mieszkanie dla rodziny. Ojciec, uwzględniając przebieg wojny, zdecydował, że rodzina pozostanie w Kleczewie. Po opuszczeniu Kramska przez administrację niemiecką ojciec, trochę na rowerze ale głównie na piechotę, przez pola i zamarznięte jeziora przekroczył linię frontu i dotarł do Kleczewa. Na drugi dzień po jego powrocie do Kleczewa wkroczyła Armia Czerwona. Od lutego do września 1945 roku z woli lokalnej społeczności pełnił funkcję burmistrza Kleczewa. W listopadzie 1945 roku został powołany na stanowisko Powiatowego Lekarza Weterynarii w Koninie i pełnił tę funkcję do grudnia

1948 roku. Rodzina przeniosła się do Konina w maju 1947 roku. Ojciec zawsze preferował praktykę lekarską, a



Józef Mrygoń (zbiory rodzinne)

nie pracę urzędniczą. W styczniu 1949 roku założył Zakład Lecznicy dla Zwierząt, którym kierował przez kilkanaście lat. W międzyczasie władze PRL upaństwowiły służbę weterynaryjną. Ojciec był jedynym żywicielem rodziny. W mojej pamięci zachował się niedostatek wyraźnie odczuwalny w rodzinie. W 1952 roku, po ukończeniu szkoły podstawowej nie zostałem przyjęty do szkoły licealnej. Był to szczytowy rok stalinizmu w Polsce. Drugie dziecko inteligenta nie musi mieć wykształcenia średniego. Taki był argument nieprzyjęcia mnie do liceum. Szefem Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa był wtedy nasz były

sąsiad w Kleczewie. Jego rodzina sąsiadowała z nami również w Koninie. Któregoś dnia, pod koniec października, moja matka spotkała na ulicy żonę szefa UB. Spytała ona dlaczego moja matka jest taka smutna. Na drugi dzień po tym spotkaniu przyjechał na rowerze „wuja” Ciesielski i oznajmił mi: „Lalunia, jutro idziesz do szkoły”. Zdarzenie to miało niestety również negatywny skutek, bardzo bolesny dla mego ojca. Podobno wkrótce po tym zdarzeniu, ojciec „spadł” w radiu Wolna Europa jako agent UB. Ojciec, zdecydowany przeciwnik wszystkich struktur ówczesnych władz, bardzo to przeżywał. Dwadzieścia lat później, kiedy wyjeżdżałem na roczny staż naukowy do Oxfordu, ojciec poprosił mnie abym napisał do radia Wolna Europa z żądaniem sprostowania nieprawdziwej wiadomości z 1952 roku (sic!), o ile takowa w ogóle miała miejsce. Ojciec interesował się rozwojem medycyny weterynaryjnej. Kupował czasopisma specjalistyczne i literaturę, nawet w języku niemieckim w czasie okupacji. Około 1950 roku utworzył przewód doktorski. Tematem jego pracy było oznaczanie grzłzicy krów, oparte na prostym, niewymagającym aparatury laboratoryjnej, próbkowym badaniu krwiowego mleka. Promotorem jego był lekarz weterynarii prof. Runge z Uniwersytetu Poznańskiego, wybitny specjalista w dziedzinie chorób zakaźnych zwierząt. Niestety, prof. Runge zmarł nagle w 1953 roku. Po przeniesieniu przewodu do Lublina nowy promotor swoim zachowaniem skutecznie zniechęcił ojca do zakończenia pra-

cy doktorskiej. Wieloletni kontakt ze zwierzętami stał się przyczyną chorób zawodowych ojca, szczególnie uczulenia na białko końskie. Na krótko przed emeryturą ojciec musiał rozstać się z praktyką lekarską i w ostatnim okresie swojej działalności zawodowej pracował jako Weterynaryjny Inspektor Sanitarny. Ojciec traktował jednakowo swoje dzieci, ale między nim a mną istniała szczególna więź. W czasie wspólnych spacerów lub wielu godzin spędzonych na wędkowaniu rozmawialiśmy tym samym językiem. Ojciec miał liczne zainteresowania. Między innymi miał rozległą wiedzę historyczną dotyczącą wojen XX wieku. To od ojca dowiedziałem się tuż po wojnie prawdy o Katyniu. Ojciec interesował się również teatrem i muzyką. Sam grał trochę na skrzypcach, a że rodzina była muzykalna, w domu było dużo muzykowania, szczególnie w okresie świąt Bożego Narodzenia. Ojciec był dumny z moich osiągnięć naukowych i zawodowych, chociaż nigdy mi tego nie okazywał. Dowiedziałem o tym kilka lat temu od prof. Worwaga, z którym ojciec się spotykał i dużo mu o mnie opowiadał. Na początku października 1977 roku ojciec przeglądając się w lustrze stwierdził u siebie żółtaczkę. Spakował neseserek, pożegnał się z sąsiadką i poszedł do szpitala, gdzie został przyjęty na oddział zakaźny. Kilkanaście dni później zmarł. W bardzo godnym pogrzebie uczestniczyło wiele osób. Istnieje powiedzenie: „Tak długo człowiek żyje, jak długo żyją o nim wspomnienia”.

Bogusław Mrygoń

dokończenie ze str. 1

Wśród ochotników – jak wspominał ks. Szabelski – był też Władysław Michalak, uczeń klasy VI. Niestety, nie powrócił z wojny. Zginął pod Oranami na Wileńszczyźnie, jako żołnierz 205. ochotniczego pułku piechoty.

Pewne istotne informacje na temat konińskich odgłosów wojny podaje ówczesna prasa urzędowa. W sprawozdaniu z działalności PKOP (Powiatowego Komitetu Obrony Państwa) za okres: 14 lipca 1920-19 lu-

tego 1921 znalazły się takie m.in. informacje. – Myśl powołania Komitetu zrodziła się 7 lipca; rozpoczął on działalność pod przewodnictwem starosty Jana Augustowskiego tydzień później. Podzielony został na osiem sekcji: propagandy, samoobrony, obrony zbrojnej, konnej, sanitarnej, opieki nad uchodźcami i finansowo-gospodarczej. Sprawozdanie szczegółowo informuje o działalności poszczególnych komisji w przeciągu pół roku. Na przykład: staraniem sekcji propa-

gandy urządzono w powiecie czternaście wieców, na których oprócz ofiar w naturze zebrano przeszło 57 500 marek gotówką. Sekcja samoobrony zorganizowała straż obywatelską, na czele której stanął Tadeusz Swiniarski. Staraniem sekcji obrony zbrojnej było prowadzenie agitacji w celu werbunku ochotników do wojska. W konińskiej komisji werbunkowej przyjęto 503 zgłoszenia, oprócz tego spora liczba młodzieży, a nawet i starszych osób, wyjechała do Warszawy i

Łodzi w celu zapisania się do wojska. Sekcja konna zebrała od ofiarodawców 381 sztuk koni. Sekcja sanitarna została zorganizowana przy miejscowym oddziale Czerwonego Krzyża. Służono pomocą medyczną, organizowano zbiórki odzieży i innych rzeczy na front. Sekcja opieki nad uchodźcami zorganizowała z chwilą przybycia pierwszych pociągów z ewakuowanymi uchodźcami dyżury na stacji kolejowej, gdzie rozdawano herbatę i żywność. Wydawano też

zapomogi z funduszu PKOP. Zajmowano się poszukiwaniem rodzin zaginionych, udzielono porad prawnych około 300 osobom, dzieci do lat 15 otrzymywały bezpłatnie obiady, dzieci w wieku szkolnym przydzielono do szkół powszechnych, chorych przyjęto do szpitali, przytułków itp.

Naprawdę, w ciężkiej dziejowej próbie społeczeństwo Konina dobrze zdawało swój patriotyczny egzamin. cdn.

Janusz Gulczyński

A Warta, panie dziejku, była że ho, ho!

W jednym z numerów Koninianów, jak zwykle dbały o szczegóły Piotr Rybczyński, pisał o dziewiętnastowiecznych konińskich kąpieliskach. W tym samym numerze Janusz Gulczyński zacytował tekst epitafium z grobu księdza, którego pochłonęła woda w trakcie ablucji.

Obaj piszący, Piotr i Janusz, należą do pokoleń znacznie młodszych od prezesa zarządu TPK Stanisława Sroczyńskiego i sekretarza Zygmunta Kowalczykiewicza, przez co nie mają za sobą przygód związanych z kąpielami w czystej, przezroczystej wodzie Warty i Powy.

Po 1945 r. zakazana Polakom w czasie okupacji plaża, czyli białe piaski na prawym brzegu rzeki, każdego lata, roiała się od młodych i starych „obojga płci”. Kąpielisko było koedukacyjne, ba „nawet rodzinne, czemu sprzyjała płycizna rzeki. Dopiero na drugim brzegu, rwący nurt sprawiał zagrożenie dla osób nie umiejących pływać.

Konińska plaża to nie jedyne miejsce do igraszek w wodzie. Dla nas, młodych chłopaków, bliżej było do tam, czyli sztucznie usypanych i umocnionych kamieniami wałów stawianych prostopadle do nurtu rzeki. Dla większości chłopaków i odważniejszych dziewczyn były one bazą wypadową i zarazem czymś w rodzaju szatni. A były to takie czasy, w których można było zostawić odzież na wiele godzin, nikt jej nie ukradł.

Z tamy można było nurkować, zapuszczać się na drugi brzeg, względnie popłynąć do Czarkowa, nawet Chorzni. Wracało się piechotą. Robiliśmy też piesze wyprawy w górę rzeki, do plaży miejskiej, Glinki, rzadziej Morzysławia, by potem wplaw wrócić do „swojej” tamy. Odmierzając je od drewnianego mostu były dwie. Pierwsza naprzeciw domu lekarza Kabaty, druga na zapleczu kina Polonia, później przemianowanego na Górnik. Obie stanowiły bazę dla dzieciarni z Placu Wolności

i jego okolic. Z Armii Czerwonej (3 Maja), Zofii Urbanowskiej, Słowackiego, Westerplatte i Placu Stalina (Plac Zamkowy). Nie było wtedy wałów przeciwpowodziowych, przez co chłopaki i dziewczyny z innych ulic też mieli swoje ulubione miejsca. Choćby na piaskach przybrzeżnych krystalicznie czystej Powi, której płytkości były rajem dla maluchów i spokojem dla osób je pilnujących.

Czy były wypadki utonięcia? Były, ale niezbyt częste. Naturalnie, że nasi rodzice bali się o nas i zakazywali kąpiele w głębokiej wodzie. Nie znano wtedy instytucji ratownika wodnego, nie było Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Kiedy wychodząc z domu mówiliśmy (najczęściej nie mówiliśmy) że idziemy nad rzekę, nakazywano nam abyśmy się kąpali pod opieką dorosłych.

Czytelnicy „Koninian” znają nasze nazwiska. Znają też piszącego w Przeglądzie Konińskim lekarza medycyny Tadeusza Łasińskiego. Ponie-

waż upłynęło multum lat i wszystkie dziecięce przestępstwa się przedawniły, przeto opowiem o jednej przygodzie.

Był początek czerwca 1949 r. Z jakiś tam przyczyn puszczono nas wcześniej ze szkoły. Było ciepło, postanowiliśmy więc darowany nam czas przeznaczyć na kąpiel w Warcie. Obawiając się donosów „że się gdzieś szwendamy, pobe-gliśmy: na Pocijewo. Wypatrzyliśmy odpowiednią płycizną graniczącą z piaszczystym brzegiem. Szybkie zdjęcie ubrań, łącznie z majtkami, aby Mamy nie poznały że są mokre i skok do wody. Kto był dzieckiem ten wie, że w takim wieku godzina dobrej zabawy trwa jedną minutę. W rzecze jeszcze krócej. Dopiero słońce nakazało nam zaprzestać uciech. Hybko żeśmy się odziali, popatrzyliśmy na siebie i... zgroza, dojrzyliśmy błądź na obliczach wywołaną kąpielą. Strach nas oblażył od stóp do głów,

że wszystko się wyda. I wtedy wkroczyła dziecięca pomysłowość. Każdy z nas nabrał w garście białego, mialkiego piasku i natarł nim policzki. Wnet stały się różowe. Potem szybki bieg do domu.

Dzień dobry Mamo! Wróciłem ze szkoły!

Zygmunt Kowalczykiewicz Starszy



(str. III)



Zapomniane tajemnice ratusza (II)

Od dwóch stuleci budowla konińskiego ratusza pozostaje symbolem tradycji miasta i na pozór może sprawić wrażenie trwałej i niezmiennej. W rzeczywistości jednak była wielokrotnie restaurowana i przebudowywana, a powodem kolejnych prac remontowych było nie tylko powstające wskutek upływu czasu prozaiczne zużycie, lecz także zmiany funkcjonalne wynikające z ewolucji struktur organizacyjnych i kompetencji władz municypalnych.

Po gruntownym remoncie przeprowadzonym w latach 1829-1830 koniński ratusz uzyskał ostateczny kształt budowli, który w ogólnym założeniu przetrwał do naszych czasów. Jednakże niespełna dwadzieścia lat później stan ratusza był już ponownie zły. Konieczność remontu dostrzegł ówczesny Naczelnik Powiatu Konińskiego, który w kwietniu 1847 pisał do władz zwierzchnich, iż [...] skutkiem zdezolowanego dachu przy ulewnej deszczu sufity pogniły i członkowie Magistratu tutejszego nie mogą się zająć pracą, w obawie, aby sufit w większej jak dotąd

części [się] nie zapadł... Według jego oceny, o ile nie zostanie zrobiony w szybkim czasie remont, to [...] *biuro Magistratu wypadnie do innego przemieścić lokalu...*

W tej sytuacji sporządzono tzw. *anszlag*, czyli kosztorys robót i ogłoszono przetarg publiczny na wykonanie stosownych prac. Zgodnie z obowiązującymi wówczas przepisami był to tzw. przetarg „in minus”, co oznaczało, że wykonawcą robót zostawał ten z przedsiębiorców, który podejmował się wykonać określone w *anszlagu* prace za najniższą kwotę. Punktem wyjścia licytacji była suma wskazana w owym kosztorysie, który sporządził budowniczy powiatowy. Następnie *anszlag* był gruntownie sprawdzany i korygowany przez urzędników gubernialnych (co nazywano rewizją), a w końcu jeszcze raz sprawdzany i akceptowany na szczeblu Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych (co określano mianem superrewizji).

W efekcie działania całej tej biurokratycznej procedury powstał kosztorys, który wprost przeraził burmistrza i pozostałych urzędników municypalnych. Projektowane koszty remontu zostały bowiem tak bardzo zaniżone, że nikt nie wykazał zainteresowania

licytacją, która tym samym nie doszła do skutku. Przysłowiowy pies z kulawą nogą nie pojawił się również na kolejnych dwóch (w czerwcu i sierpniu 1848 r.) terminach licytacji, co władz miejskich oczywiście nie zdziwiło, ale musiały spełnić zadość obowiązującej procedurze.

Sprawa remontu utknęła w martwym punkcie, a tymczasem stan ratusza był już taki, że jak pisano w początkach 1849 r. [...] *w archiwum brakuje połowy sufitu, papiery od wilgoci butwieją, wody pełno i tak samo w kancelarii Magistratu...* Miało to jednak umiarkowany wpływ na tempo działania rządowych urzędów w odległej Warszawie i dopiero jesienią 1849 r. Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych przyjęła nowy *anszlag* na remont ratusza, ustalając podwyższoną kwotę, która z niespełna 466 rubli wzrosła do... ponad 1066 rubli. Tym razem udało się wreszcie przeprowadzić licytację, co jednak trwało kolejne miesiące. Wreszcie w lipcu 1850 r. zawarto umowę na remont ratusza z miejscowym przedsiębiorcą Ludwikiem Begans, który podjął się wykonać wskazane roboty za kwotę 999 rubli.

Nie był to jednak koniec proble-

mów, bowiem gdy w końcu przystąpiono do prac okazało się, że niezbędne są dodatkowe roboty na sumę blisko 135 rubli. Stało się to przyczyną dalszej mitręgi dla konińskiego magistratu, gdyż trzeba było kolejnych miesięcy, aby warszawscy urzędnicy zaakceptowali dodatkowe wydatki. Przy okazji władze miasta chciały jeszcze zapobiegliwie poszerzyć front robót, ale nie zgodził się na to budowniczy gubernialny, który uznał, iż m.in. [...] *wyłożenie balami aresztu detencyjnego byłoby zbyt kosztownym...*

Tryby biurokratycznej maszyny kręciły się opieszale, ale przy tym nad wyraz bezwzględnie, czego doświadczył w końcu także wspomniany wykonawca robót. Kiedy bowiem w lipcu 1851 r. przyszło wreszcie do zapłaty, to zażądano od tegoż, aby koszty wykonanych już dodatkowych robót obniżył o taki sam procent, jak sumę główną na licytacji. W rzeczy samej stało się to przyczyną kolejnego sporu i właściwie nie wiadomo, czy do końca rozliczono się z nieszczęsnym przedsiębiorcą, gdyż ten w sierpniu 1852 r. zmarł na cholere.

Upłynęło zaledwie kilka lat, a ratusz wymagał już kolejnego remontu.

Tym razem sprawcą zniszczeń okazała się gwałtowna burza i wichura, która nawiedziła miasto w 1855 r. Jej skutki były katastrofalne przede wszystkim dla sąsiadującego z ratuszem budynku jatek miejskich, na którym zniszczeniu uległ dach. Niemniej szeregu uszkodzeń doznała również wieża i dach samego ratusza, nie wspominając o powybijanych szybach i połamanych oknach. Opisując powstałe szkody naczelnik powiatu pisał m.in. [...] *z wieży ratuszowej zerwany został i połamany herb miasta z blachy miedzianej zrobiony i w ogniu pozalacany...*

W tym miejscu należy wyjaśnić, że znajdujący się obecnie na frontonie gmachu ratusza wizerunek herbu miasta w tej formie pojawił się dopiero prawdopodobnie w XX stuleciu. Podobnie jak szereg innych elementów i detali architektonicznych zewnętrznej bryły, a przede wszystkim szczegółów wewnętrznego rozplanowania ratusza. W tym ostatnim przypadku było to z reguły bezpośrednim skutkiem zmieniających się z czasem prerogatyw oraz obowiązków władz miejskich. Przez długie dziesięciolecie bowiem biura magistratu zajmowały ledwie połowę ratusza, a urzędnikom towarzyszył w pracy głównie... brząk kajdan i szcęk oręża. O tym jednak w kolejnej części zapomnianych tajemnic konińskiego ratusza.

Piotr Rybczyński

Klimat lokalny Konina część 1

Miasto Konin leży w środkowej Polsce, we wschodniej części województwa wielkopolskiego nad rzeką Wartą. Północne, przemysłowe jego dzielnice, które są położone w odaleniu o około 10 kilometrów od centrum nad jeziorami Pątnowskim i Gosławskim, zachowały charakter wiejski. Miasto składa się generalnie z dwóch części, mianowicie: z położonego na lewym brzegu Warty starego Konina i prawobrzeżnego nowego Konina. Oba te miejsca odzielone są od siebie pasem łąk towarzyszącym rzece i Kanałem Ulgi.

W skład rzeźby Konina według podziału Bogumiła Krygowskiego wchodzi: równoleżnikowo przebiegająca Pradolina Warszawsko-Berlińska (tzw. Odcinek Koniński) oraz skrawki dwóch wysoczyzn morenowych – Gnieźnieńskiej od północy i Tureckiej od południa. Nowy Konin zlokalizowany jest na Wysoczyźnie Gnieźnieńskiej, stary Konin natomiast na terenie Pradoliny Warszawsko-Berlińskiej. Osiedla otaczające Starówkę od południa (Pawłówek, Wilków) zbudowane zostały na Wysoczyźnie Tureckiej. Ukształtowanie powierzchni terenu w obrębie dzisiejszego miasta Konina na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat uległo silnym przekształceniom w skutek adaptacji niektórych gruntów na potrzeby budownictwa i przemysłu. Nie pozostało to bez wpływu na miejscowy klimat.

Rozwój osadniczy Konina od czasów najdawniejszych należy wiązać z „wędrówką” centrum organizmu miejskiego związaną ze zmianą funkcji pełnionych przez to miasto i postępem cywilizacyjnym. Grodzisko Kaszuba zostało założone przy ujściu Powy do Warty i pełniło funkcje brodowe, w miarę rozwoju

dróg bitych tracące na znaczeniu na rzecz handlu. Następną osadą było Stare Miasto dające początek Koninowi w źródłach historycznych (pierwsze funkcje administracyjne). Kolejnym centrum miasta był, położony w miejscu przewężenia pradoliny, obecny stary Konin, który został również jednostką administracyjną regionu rolniczego. Ośrodek ten kolejno jako miasteczko pruskie a potem rosyjskie nie rozwijał się prężnie i był mało znaczącym skupiskiem miejskim w Wielkopolsce. Dużo do życzenia pozostawały także warunki arosanitarne Konina sprzyjające szerzeniu się rozmaitych chorób (częste epidemie).

Jeszcze w początkach XIX wieku w obrębie gruntów miejskich nie było żadnych obszarów zadrzewionych. W 1832 roku założono dwa małe zagajniki: jeden pod Starym Miastem, a drugi na „piaskach za przedmieściem Borzętówem”. Ten ostatni obszar zajmowały wówczas piaszczyste wydmy w bezpośrednim sąsiedztwie doliny Warty. Nasadzenia drzew miały powstrzymać ekspansję ruchomych wydym.

W roku 1922 linia kolejowa przez Konin połączyła Poznań z Warszawą. Linia ta, budowana wzdłuż wysoczyzny na prawym brzegu Warty, swoimi początkami sięgała połowy XIX wieku, kiedy to prowincjonalne miasteczko rosyjskie Konin uzyskało połączenie koleją żelazną z Warszawą. Fakt ten stanowił impuls dla rozwoju Konina w stronę północną. Poważną przeszkodą była jednak Pradolina Warszawsko-Berlińska, ze względu na coroczne stany powodziowe i specyficzne grunty, mało podatne pod zabudowę. W roku 1926 badania geologiczne wykryły na prawym

brzegu występowanie masowych ilości węgla brunatnego. Punkt ciążenia zaczął przenosić się na ten brzeg.

Niemale znaczenie dla obecnego kształtu granic Konina miały lata powojenne (a szczególnie 60. XX wieku), kiedy to rozpoczęto przemysłową eksploatację węgla brunatnego na ówczesnych północnych peryferiach miasta. Towarzyszył jej rozwój powiązanej z kopalniami sektora energetycznego. Od tego czasu można właściwie mówić o rozbudowie nowego Konina na prawym brzegu Warty. Funkcje przemysłowe przyczyniły się do wzrostu liczby ludności i zatrudnienia, a co za tym idzie, wymuszały nakłady finansowe na budowę i rozwój infrastruktury społecznej i technicznej w Koninie.

Od 1953 roku środowisko Konina tak bardzo zostało przekształcone, że dawne mapy topograficzne tego terenu są już nieaktualne. Od tego czasu datują się trwałe zmiany klimatu lokalnego miasta (zwłaszcza jeśli chodzi o jego nową, północną część). Z przeprowadzonych w latach 60. i 70. XX wieku badań na terenie wyrobisk kopalnianych w Gosławicach i Pątnowie wynikało, iż różnice temperatury pomiędzy nimi a terenami przyległymi mogły wynosić do 12°C. Na wschód od Łężyna różnice temperatur między obniżeniami jeziornymi a wyniosłościami wynosiły około 3°C. Zwrócono ponadto uwagę na nocny spływ zimnego powietrza do wnętrza obniżeń jeziornych i pokopalnianych oraz zwiększoną częstość pojawiania się mgieł w tych izolowanych formach. Zwałowiska pokopalniane zaczęły modyfikować kierunki lokalnych wiatrów zachod-

nich. Kłopotliwą sprawą pozostały ogromne ilości zawiesiny pyłastej i inne wyziewy kumulujące się nad północnymi Gosławicami i Pątnowem. To niby na ich podstawie ówczesne władze wyznaczyły w Koninie fałszywe granice strefy zagrożenia ekologicznego.

Najbardziej jednak narażona na skażenia emitowane przez elektrownie i hutę była ludność konińskiej Starówki, gdyż masy powietrza znad Gosławic i Pątnowa sływały z boczem wysoczyzny do obniżenia pradolinowego w którym leży stary Konin. Na przyspieszenie tego procesu wpływ miała również w dużej mierze południkowa lokalizacja osi bloków na nowych osiedlach. Dodatkowo przestarzałe paleniska domowe przyczyniły się do powstania nad tą częścią miasta efektu tzw. smogu dolinowego. To zjawisko charakteryzowało się nasileniem liczby dni parnych i upalnych w czasie lata, złą jakością sanitarną powietrza oraz częstym występowaniem mgieł wieczornych.

W przeszłości starego Konina nie omijały również opady nawałne. W 1966 roku deszcze nawałne osiągnęły wartość 69,7 mm, co stanowiło 12% sumy opadów rocznych, a w pobliskich Kawnicach ich udział wzrósł do 15%. Letnie opady nawałne mogą być połączone z gradobiciem. Opad gradu ma charakter lokalny zależny od warunków atmosferycznych i ukształtowania terenu. Na potwierdzenie tego faktu można podać przebieg czasowy tego zjawiska w Koninie. W wieloletnim 1956-1968 zanotowano jeden dzień z opadem gradu (dokładnie w 1961

roku), ale już w latach 1969-1973 opad gradu wystąpił osiem razy. Opady gradu przypadają najczęściej na okres wiosenno-letni (kwiecień, lipiec).

Włączenie wód jezior Gosławskiego i Pątnowskiego w cykl obiegu wód pochłodniczych elektrowni spowodowało pojawienie się zjawiska wzmrożonego (około 1000 mm rocznie) parowania z tych zbiorników wodnych. Wody wyparowanej jest trzykrotnie więcej w porze letniej i jesiennej w porównaniu z innymi sezonami (szczególnie tymi trwającymi w przedziale czasu od listopada do kwietnia). Zrzut wody podgrzanej powoduje zwiększenie temperatur rocznych jezior Gosławskiego i Pątnowskiego o około 3°C w odniesieniu do termiki jezior naturalnych, co sprzyja zanikowi zlodzenia zimowego na wymienionych zbiornikach.

Badania klimatyczne prowadzone na terenie Konina obejmowały różny zakres parametrów i zlokalizowane zostały w różnych punktach pomiarowych (elementy meteorologiczne: Konin-Gosławice lata 1968-1980, Konin-Marantów lata 1981-1985, Konin-Gosławice lata 1990-2000; posterunek opadowy Konin pomiary prowadzone od 1951 roku). Różne okresy wieloletnia brane w tych pomiarach pod uwagę obejmowały czasami bieżące zmiany środowiska. Dzisiejsze zmniejszenie natężenia przeobrażeń sugeruje wzięcie do analizy najaktualniejszych ciągów pomiarowych.

Bartosz Kielbasa

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych, zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania

KONINIANA

www.koniniana.netstrefa.com.pl

zdj: Images Copyright©2000 DigiTouch zdjęcia portretowe: RAD

ADRES REDAKCJI:
62-510 Konin, ul. Przemysłowa 9,
tel. 063 243 77 00, 243 77 03
Redaguje zespół
Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Konina
ISSN 0138-0893